

J. POWALSKI.

.. SZTANDARY .. KSIĘCIA JÓZEFA.

Wszelkie prawa autorskie zastrzeżone.

Leciał, i w rozszarpanych myślach, rozognionych znów nieprzytomną pożogą wściekłości i żalu, zamierzał skrócić ku Kraśnikowi, porwać Antosię, mimo wszystko, w imię prawa lepszego, niż wszystkie śluby. Czuł je w sobie, to prawo, powszechne jak ziemia, jak wiatr, jak krew w żyłach. Antosia jest ich, i musi ją ocalić. I zrywał konia ze wściekłością w huczącej głowie, gdy błyskała mu myśl, że już jej nie ocali, że zapóźno — i że jest ten ślub, ten ślub, który rozstrzygnął...

Lecieli tak ze dwie mile. Wtedy poczał go nabiegać krwawiący spokój. Jeszcze rzucił się, jak raniony jelen, gdy mu wracała nawałnica pierwszej chwili, gdy wspomniął ojca. Ale ogarniał się, brał w wodze. Liczył, co można zrobić. Wstały sprawy wojska, sprawy długu...

Minęli drogę ku Kraśnikowi, i niespiesznym truchtem, by nie zgonić koni, jechali dalej i dalej, gubiąc się w zielonym kraju, na piaszczystej drodze, w dalekości.

VIII

Tłumy cisnęły się na placu Saskim, w śmiejącej się jasności majowego poranku. Karmiona uniesieniami ostatnich miesięcy publiczność przyszła żegnać z wylaniem, z zapalem i ze łzami, wyruszające dziś na wyprawę moskiewską pułki.

Kapitan Kleszewski stał na koniu przy swojej kompanii, przy działach połyskujących w słońcu, kiesionach, zaprzęgach. Zielone mundury, czerwone epolety, czerwone pióra na kaszkietach kanonierów, przetykały szczęśliwym kontrastem barw lśniące gniade i siwe maści koni. Konie parskały po zaprzęgach, były kopytami od much, rzucały głowami. Zieloni kanonierzy stali w uroczystej i wzorowej nieruchomości. Patrząc z konia, wyniesiony nad kolorowy łan pułków, spoglądał młodzieniec ku granatowej masie piechoty, mieniącej się białością pasów i spodni.

Przydzielony był pod szefem Uszyńskim do dywizji generała Kamińskiego, tworzącej wraz z dywizyjami Zajacka jedną a Dąbrowskiego drugą, piątą korpus wielkiej armji, pod naczelnem dowództwem księcia Poniatowskiego.

Dalej, wzdłuż pałaców, stłoczona publiczność stanowiła tło w cieniu budynków dla zalanej słońcem świetnej barwności wojska. Dzięki bystremu wzrokowi odróżniał wśród niej poruszenia podnieconego tłumu, miganie białych chustek, kapeluszków, strojów jaśniejszych. Upatrywał ojca, który odwiózł Józia do szkoły, i dotąd był w Warszawie, przygotowując przeniesienie się rodziny do miasta. Nie widział go.

Wtem ogromny okrzyk powitał przybywający sztab generalny z księciem Poniatowskim na czele. Wbiegłszy na miejsce obok trybun senatorskich, sztab ustawił się. Lśnił zdala srebrem szlif, haftów, galonów, granatem i karmazynem ubrań, bogactwem końskich ozdób. Poruszał się i chwał w miejscu od skoków i stąpania pysznych koni, niecierpliwych się pod strojnymi jeźdźcami. Obok zasiadał senat, władze wszelkie.

Uroczystość miała zacząć się przemową księcia, i skończyć odebraniem sztandarów pułkowych przez przedstawicieli pułków. Jakoż książę wystąpił przed wojsko. Był na karym koniu, lekkim, wspaniałym. Zaczął mówić.

Wiatr donosił niektóre słowa, inne topniały w szmerze zebranych tysięcy. Skupienie wojska, jego cichość, zlanie się jego jakby w jedną istotę, czującą ogromnem sercem i oddychającą piersią, ogarnęło wszystkich. Kapitan Kleszewski był już pod czarem. Wspomniły mu się chwile, gdy stał przed ruszeniem w bitwę, czekając komendy rzucenia się w ogień. Wspomnił mu się rzut naprzód, rozkosz pędu wśród gorącego świstu kul i dymu rozwiewającego się i buchającego co chwila. Rzeźwa dzielność fizyczna skrępiła w nim na nowe koleje. Tęsknie westchnął i uśmiechnął się, jakby się budził. Uświadomił sobie dokładnie, że oto żegna go, ich wszystkich, stara stolica, serce czujące Polski, Polska sama. Żegna i posyła na bój za nią. Nie robił w duszy przysięgi, tylko rozżarzała mu się, jak o wschodzie słońca w Modlinie.

Książę mówił:

— przechodząc granice Księstwa, wstępujecie nie na ziemię obcą, ale polską. Nieście oręż mściwy nieprzyjaciółom, opiekuńczy współziomkom. Idziemy nie podbijać, lecz oswobadzać.

— Słuchała go olbrzymia, cicha istota. On mówił, jak nauczyciel. Od niego dostawali w słowach to, co mieli w sercu.

— Kto to skupił i trzyma? — myślał Kleszewski. — Dlaczego tu są? Żołd? Nie byłiby tacy jak oto stoja i słuchają, podniesieni i wyprostowani, jak do czytania ewangelji w kościele. Tylko duch jeden i najsłodsze imię ojczyzny.

Nieznane wzruszenie ogarnęło go, gdy znalazł tej braci tak wiele, jednego chcącego, jedno kochającego, i gotowej na wszystko dla tej samej sprawy. Teraz książę skończył mówić. Powstał ruch, i wszystko podniosło się, by widzieć. To przedstawiciele pułków szli po orły.

Były to te, które poświęcono w 1807 roku. Odebrali je w milczeniu. Widomy znak wyjścia na wojnę, gdy się te ptaki wracały do pułków. Na dziewczęcych figurach orła srebrnego, pod nią tabliczka z numerem pułku, i zwieszona chorągiew czerwona z białym orłem. Te to symbole honoru pułkowego oddane w ręce orłowych, ruszyły ku pułkom. Szeregi poruszyły się jeszcze. Było coś na kształt zamieszania moralnego, gdyż cała uwaga żołnierzy z komendantów przeszła na orły. Ale w tejże chwili od czoła padła komenda, warknął nagle bęben jeden, drugi. Jednolite ciało pierwszego z pułków zmieniło się, wydłużyło, podzieliło, ruszyło. Migać poczęły, mieniąc się w marszu, białonogie szeregi piechoty. Z tłumu wybuchł zgiełk nagły, jakby zmieszane szlochaniem, okrzyki, jęki. Zgłuszył je grzmiący okrzyk wzniesiony na cześć księcia, gdy mijały go idące szeregi.

Ta sama komenda powtarzała się teraz regularnie, i kompania ruszała za kompanią, batalion za batalionem. Każdy żegnał okrzykiem księcia, mijając. Ten stał i patrzył. W tym ruchu regularnym, w tem opróżnianiu się placu, było coś żalobnego, podobieństwo jakiegoś do wiecznego rozstania. Chłodna myśl o blizkim przeznaczeniu tyłu i tyłu z pośród tych jeszcze dziś żywych, jeszcze mogących być wróconymi, zatrzymanymi — dotknęła zebranych widzów.

A ci szli i odchodzili spełniał się nad nimi los niewiadomy.

Teraz przyszła kolej na artylerję. Kapitan Kleszewski rzucał bacznie okiem na swoje działa, połyskujące w majowym słońcu, wśród nieruchomo stojących ludzi i koni. W odpowiednim momencie powtórzył komendę, za nim porucznicy.

Szczerknęły łańcuchy, zatupały kopyta, naprężyły się konie, armaty ruszyły jedna po drugiej. Teraz rzewne wybuchy publiczności, jej jęk zgiełkliwy, jego się tyczyły i jego żołnierzy. Uważał głównie na trzecie działo, którego najmniej był pewny, z powodu koni niedawno zmienionych i dzikich. Starzy kanonierzy, żołnierze doświadczeni, pilnie przy tem dziale czuwali.

Gdy odwracał od niego wzrok, wpadały mu w oczy zapłakane twarze kobiet, odkryte głowy mężczyzn i zachwycone i rozbiegane figurki małych łobuzów i uliczników. Powiewały chustki, kapelusze, biegły i prześcigały się okrzyki. Życzono im zwycięstwa, polecano Bogu, żegnano łzawo.

— Przywieziemy wam wolność — obiecywał im Kleszewski w duszy, przechodząc ich ostatniem spojrzeniem. Starł się zatrzymać wszystko w pamięci: tak było, gdyśmy wyjeżdżali. Obejmował dachy z dymionej dachówki, niebo błękitne, kolumny pałaców, okna pełne twarzy. Serce ścisnęło mu się, wbrew woli, jakby całkiem po za nim. Myślał:

— Żegnajcie. Żegnaj, ojczyzno!

I czuł w tem coś rozdzierającego. Przyszło mu na myśl, że może to przecucie śmierci. To go natychmiast wypogodziło, wróciło mu junactwo. Wprawiał się przecież w jej pogardę nie od dziś. Z dziańską dumą podniósł rękę do salutowania księcia.

— Niech żyyyje! — krzyczało wojsko. Książę przyłożył rękę do rogatej czapki. Kobiety płakały.

Skręcili na Krakowskie Przedmieście, którem schodzili w dół ku Zjazdowi, na Pragę, w drodze na północ. Tesame tłumy pod kamienicami i w oknach, stłoczone, uniesione. Armaty w tym wąwozie kamienic dudniały wzmocnionym hurkotem. Krzyki publiczności inaczej też brzmiały, uwięzione w murach. Gdzieś z przodu idące szeregi zaczęły śpiewać pieśń Dąbrowskiego. Dobiegała niewyraźnie, wśród zgiełku. Potem podjęli ją najbliżsi, aż runęła ze wszystkich piersi:

Jak Czarniecki do Poznania,
Po szwedzkim zaborze,
Dla ojczyzny ratowania
Wrócim się przez morze.
Marsz, marsz Dąbrowski....

Kleszewskiemu serce tłuło się radośnie, duma rozsadała piersi. Pieśń wzięta w siebie, związała w swój rytm wszystkie ruchy. Śpiewał ją krok żołnierzy, marsz miarowy, bijące tętna, rozpalone serca.

W przejściu, we facjatomem oknie mignął kapitanowi jakiś staruszek wysuszony i drżący, który im błogostawił z góry ze śmiejącą się twarzą, z której leciały łzy. Kobiety w żałobie, duszące chustką łkania, inne wychylone, bez tchu, w rumieńcach, w umiesieniu. Pieśń grzmiała zwycięstwem;

Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę,
Będziem Polakami,
Dał nam przykład Bonaparte,
Jak zwyciężać mamy.
Marsz, marsz Dąbrowski....

— Jeśli się to stanie — słuhował sobie nagle Kleszewski z głębi duszy — jeśli się stanie — niech zgine ja, niech zginiemy wszyscy, byle ona wstała i była.

Armaty zjechały na most. Za nimi została stara Warszawa spiętrzona, wysoka, dumna, jak wdowa, która wysłała swe dzieci, na daleką, świętą krucyatę.

IX.

Jedyną myślą Ignacego był pośpiech i znalezienie się wraz z działami na pozycyi.

Armia przechodziła Berezynę.

Wśród strasznego zamętu, gwałtu, przepierając się przez nawał ludzi, zagmatwanie bryk i furgonów, szalony jakiś i bezrozumny ściek roztopionej i rozwiązanej w zdziczałe kupy armii, dał się z koni i armatami naprzód, grzęznąc w rozrobionej na kaszę ziemi ze śniegiem, w której konie pracowały krwawo, brnąc po brzuchy, dymiąc rozdzierającym płucą sapaniem, robiąc bokami jak w przedśmiertnym wysiłku, ostatnim, najcięższym. Kanonierzy i żołnierze, wszyscy podpierali ze wszech stron, gdzie się który mógł doczepić, rękoma podobnymi do jakichś łap z żelaza, wpadając w jamy, gramoląc się spiesźnie i pilnie, i prac znowu, sunąc wciąż naprzód, poprzez płynące i płynące i zawałające wszystko wokoło nich, w każdą stronę, rozwiązane dawno z wszelkiego ładu wojsko. Wciągnęli się na jakieś gliniaste wywyższenie, obmazani, niepodobni do ludzi. Walili prosto w las, gdzie mieli ustawić się w gąszczu.

Ignacy miał pod sobą cisawego konia, który wytrzymał i przeszedł drogę z Warszawy do Moskwy i z Moskwy aż tutaj. Naglił go odruchowo i ustawicznie ruchem prawej tydki. Spoziierał w prawo, gdzie ciągnęła się droga przez błota, groble i mosty armia, treny, furgony, nieskończona rzesza maroderów, zbójów wszelkiego rodzaju. W lewo były wysokie bory, przez nie trakt bity do Mińska. Wiedział to z planów, które wczoraj oglądał w sztabie, wypadkiem. Nie widać było nic, poprzez pnienie drzew, rojące się i zastępujące wokół drogę, topiące się we mgle i gęstym dymie z dział, których huku już prawie nie słyszał, gdyż grzmiały od świtu, jak icały dzień poprzedni, prawie bez przerwy, z obu stron.

Dostrzegł, że szef Uszyński coś ku niemu krzyczy. Nie słyszał. Ruszył ku niemu koniem. Odrzucał się w jakąś jamę zakrytą śniegiem. Koń strudzony wylał z niej stękając.

Uszyński był na krępym mierzynku, chudym, zmierzwionym, obojętnym, obracającym się automatycznie, gdzie go skreśli. Krzyczał wskazując szablą, rozkazując Ignacemu rozpocząć ogień, natychmiast. Ignacy ściągnawszy konia, który zdari głowę, patrzył na szefa z umyślnem osłupieniem: od razu strzelać? Przecież absolutnie niewiadomo w leście i we mgle w jakim kierunku robi obroty nieprzyjacieli, ani jak popierać swoich. Na te słowa, spokojnie wykrzyczane wśród huku ustawicznego dział i blizkich rumorów sprawianych po lesie przez kule i granaty, odrzucił mu Uszyński, klnąc na odmianę z informacjami, żeby do krośset zaczynał, gdyż musi wesprzeć piechotę, pułk Blummera idący do ataku.

Kanonierzy tymczasem zawrócili spiesźnie za przegami, już odczepiono dymiące i zbite konie, już odwrócono, nabito, przygotowano do strzału armaty.

Ignacy zsunał się z konia, którego pochwycił uważny Prys. Nastawił działo z kompletną pewnością, że nic nie sprawi. Buchnął strzał, Ignacy znalazł się przy drugim dziale. Tu majstrował mianowany od dwu tygodni młodzieńczy porucznik Straszewicz. Szamotał się, tłumacząc coś z największą szczerością wśród huku. Ignacy go szorstko odepchnął, żując w zębach przekleństwa: szczeniaki! było w domu siedzieć!

Zaczęła się kanonada regularna. Obrócił się, co robi Uszyński: ujrzał spieszących się skwapliwie